

Wartka akcja, dobrze skonstruowana intryga i nieoczywiste zakończenie. Ta powieść wciąga i trzyma do samego końca.

— Ryszard Ćwirlej

LATAWIEC



PRZEMYSŁAW KOWALEWSKI

FILIA

PRZEMYSŁAW KOWALEWSKI

LATAWIEC



FILIA

*Kiedy pijesz, to świat nadal gdzieś tam sobie istnieje,
ale przynajmniej na chwilę zdejmuję ci nogę z gardła.*

Charles Bukowski, *Faktotum*,
przeł. J.K. Kelus, Noir Sur Blanc, Warszawa 2016

Latawiec

Według wierzeń ludowych: latający zły duch, ukazujący się w postaci różnych zjaw, gwiazd latających, błędnych ogni itp.

Potocznie: człowiek lubiący przebywać poza domem, włóczyć się, wałęsać, „latać” z miejsca na miejsce, próżnować.

Za: Słownik języka polskiego PWN pod red. W. Doroszewskiego, Warszawa 1958–1969, <https://doroszewski.pwn.pl/haslo/latawiec/>

Prolog

Warszewo, Szczecin, 14–15 października 1965 roku

Szymek nerwowo przeglądał gazetę. Wiedział, że za chwilę skończy się jego czas wolny. Mama już przed szkołą zapowiedziała, że dzisiaj przywiozła święty obraz i przez cały dzień będą się przed nim modlić. Z całej warszewskiej parafii wybrali tylko kilka domów. Z jednej strony to całkiem fajnie. Koledzy i koleżanki z klasy jutro nie odstąpią go na krok. Z drugiej strony perspektywa klęczenia kilka godzin i modlenia się o zdrowie ojca była przygnębiająca. Przerzucił kolejną stronę „Świata Młodych”. Jego wzrok powędrował w kierunku obrazkowej historyjki. Uśmiechnął się. Ile by dał, żeby mieć właśnie takiego przyjaciela jak Tytus de Zoo, choć z Romkiem i A'Tomkiem też pewnie by się zaprzyjaźnił. To jest dopiero klawa ekipa!

– Szymek i Bolek! – Głos mamy zwiastował najgorsze.

Spojrzał na młodszego brata, który wklejał wykonaną ręcznie flagę Czechosłowacji w kapsel po piwie.

– Dobra, młody, idziemy.

Usiadł na łóżku i niechętnie ruszył w kierunku drzwi.

Do poniemieckiego bliźniaka przenieśli się dwa lata temu. Wcześniej mieszkali w starej kamienicy w Śródmieściu. W porównaniu z tamtym lokalem ten obecny był jak z marzeń. Gdyby nie drewniany wychodek na zewnątrz, do którego bali się z bratem chodzić wieczorami, oraz szczury biegające po piwnicy, to nie powiedziałby złego słowa o nowym domu. W końcu mieli swój pokój i wielki ogród. Ich koledzy ze starej dzielnicy przez pierwsze tygodnie ich odwiedzali. Śmiali się, mówiąc, że przeprowadzili się na wieś. Warszewo nie było wsią, ale faktycznie autobus do miasta jechał pół godziny, a przed ich małą szkółką było pole, na którym pasły się trzy krowy i koń. Z początku nawet się tym przejmowali, ale po miesiącu chłopacy z Jagiellońskiej i Śląskiej przestali do nich zaglądać, więc opowieści o wieśniakach się skończyły.

Wbiegli po wąskich drewnianych schodach na piętro. Obraz już był w pokoju mamy. Zdawał się ogromny i bił z niego jakiś boski blask. Matka Boska na sobie miała diamentową suknię, a na głowie błyszczącą koronę. Ministranci postawili go w centralnym miejscu, tuż przed kanapą. Mama zapaliła świece po obu stronach obrazu i skinęła, żeby uklękli. Szymek skrzywił się, ale

posłusznie ukląkł. Jego brat zrobił to samo. Wtedy mama wyciągnęła z pudełeczka różaniec i zaczęła się głośno modlić.

– Chłopcy, dziękujmy Najświętszej Pani za to, że to właśnie nas wybrała i przybyła do nas z Jasnej Góry. – Mama pochyliła głowę i ścisnęła mocniej paciorek. – I pomódlmy się za to, by wasz tata wyzdrowiał i przestał pić.

Szymkowi zawsze się podobał ten mamy różaniec. Jak się go podrzucało, to paciorki wydawały dźwięki przypominające uderzenia w małe, egzotyczne bębunki. No i kuleczki były zrobione z prawdziwego bursztynu, a nie tak jak w jego, który dostał od księdza, z jakiejś przeźroczystej masy.

– Ojciec nasz, któryś jest w niebie... – rozpoczęła mama.

Szymek, który nigdy nie był tak blisko świętej, nie przestawał przyglądać się Maryi. Wiele razy ją widział – czy to na obrazkach, które wręczał mu ksiądz podczas kołеды, czy w kościele, ale teraz miał ją metr przed sobą. Koledzy opowiadali, że blizna na twarzy matki Jezusa z każdym grzechem staje się coraz dłuższa i gdy dotrze do jej serca, to nastąpi koniec świata. Odkąd o tym usłyszał, za każdym razem, jak spoglądał na obrazek Matki Boskiej Jasnogórskiej, blizna zdawała się dłuższa.

Już mieli zaczynać piąty różaniec, gdy z dołu dobiegł do nich trzask zamykanych drzwi wejściowych. Spojrzeli po sobie.

– Zosia! – Głos ojca był niewyraźny.

Szymek zamierzał wstać, ale mama przytrzymała go mocno za rękę i zaczęła się modlić z jeszcze większą pasją. Niechętnie wrócił do wcześniejszej, bolesnej pozycji. Zerknął na brata, który już nawet nie klęczał, tylko usiadł bokiem, tak by mama go nie widziała. Kiedy to się skończy? Znając mamę, to będą tak się modlić kolejne dwie godziny. A on musiał jeszcze sprawdzić, kto nie wpłacił pieniędzy na wycieczkę klasową do Pleciugi. Z tego, co pamiętał, to tylko Rudy i Wołga, ale musiał się upewnić, zanim przekaże pieniądze pani. Szymek był skarbnikiem od miesiąca. Wychowawczyni dała mu wybór: albo sekretarz, albo skarbnik. Z tym sekretarzem to nie wiedział, jak jest, a skarbnik tylko zbierał pieniądze. Wybór był oczywisty. Piąta klasa zaczęła się dla niego wyjątkowo dobrze. Dziewczyny już inaczej na niego patrzyły. Uśmiechnął się. Kolana bolały go coraz bardziej. Wiedział, że następnego różańca już nie zniesie. Nagle usłyszał trzask drzwi na dole. Tata znowu poszedł. Pewnie wróci późno i rodzice znowu będą się kłócili. A może wróci nad ranem, tak byłoby lepiej. Nieraz budził ich pijany tylko po to, by wybełkotać, jak bardzo ich kocha.

Czy ta Matka Boska nie ma dość słuchania ich modlitw?
Wreszcie mama dotarła do ostatniego paciorka.

– Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu. –
Zrobiła znak krzyża i spojrzała na synów. – Dobrze,
chłopcy, idźcie do swojego pokoju.

Szymek dawno nie widział brata tak szczęśliwego.
Wstali, przetarli kolana i wybiegli z pokoju. Chłopak
był tak zmęczony tą modlitwą, że nawet nie otworzył
„Świata Młodych”. Zapakował tylko tornister, wbiegł do
łazienki i nalał wody do miski. Pośpiesznie umył twarz
i zęby, po czym postawił naczynie na podłodze i włożył
do niego stopy. Pochłapał je wodą i wytarł ręcznikiem.
Po chwili był już w łóżku.

Zbudził się z pierwszym dzwonkiem budzika. Spojrzał
na okno. Właśnie przestało padać, ale chmury nadal wi-
siały nad Warszawem. Zerwał się na równe nogi i pobiegł
do łazienki. To będzie dobry dzień – pomyślał i szeroko
się uśmiechnął do chłopca w lustrze z jasną czupryną
i piegami.

– Chłopcy, kanapki! – Głos mamy, który dobiegł
z kuchni, był też jakiś taki bardziej optymistyczny.

Szymek minął się z bratem w drzwiach do pokoju.
Cieszył się, że jest sam. Przynajmniej nie będzie musiał
udawać, że coś mu wypadło. Sięgnął pod szafę i wycią-
gnął pudełko po butach. Położył na biurko. Otworzył.

W środku była saszetka zapinana na zamek. Otworzył ją i wysypał zawartość na biurko. I wtedy poczuł, jak kropelka potu zaczyna mu spływać po kręgosłupie. W saszetce były tylko monety. Brakowało papierków. Nie było banknotów. Ani jednego. Łzy stanęły mu w oczach. Co się stało z pieniędzmi szkolnymi? Jezu! Co on teraz zrobi? Co powie pani? Usiadł na krześle, schował twarz w dłoniach i zaczął płakać. Po chwili głośno się zanosił. Do pokoju wbiegła mama, a za nią pojawił się młodszy brat.

– Szymek, Matko Boska, co się stało?! – Matka złapała go za ręce i zaczęła całego oglądać. – Dlaczego płaczesz?

Chłopak wskazał kupkę monet leżących na stole.

– Za... za...ał. Zab...ał wszy...tko – zaszlochał.

Kobieta usiadła na łóżku i wbiła oczy w podłogę.

– Nie martw się, Szymuś. Zdobędę te pieniądze. – Przetarła oczy i wstała. – A teraz umyj buzię i idźcie do szkoły. Nie chcę, żebyście się spóźnili.

Przytuliła chłopca. Młodszy brat, który dotychczas stał w drzwiach, podbiegł do nich i również go objął.

Do szkoły mieli niespełna kilometr. Żeby do niej dojść, musieli pokonać szutrową drogę, która o tej porze roku, szczególnie po deszczu, zamieniała się w błotnistą breję. Przeskakiwali więc przez kałuże albo je mijali,

wchodząc na pobliskie pole. Zabawa kończyła się, gdy dotarli na Duńską. Tu już był chodnik. Czasami chodzili przez górkę, ale po deszczu teren zamieniał się w błotnistą ślizgawkę. Zdecydowali się iść dłuższą drogą. Szkoła podstawowa numer siedem była tak mała, że nawet nie miała swojego patrona. Za to posiadała duży teren przed budynkiem, na którym stały dwa słupy do kosza. Żuźlowe boisko było otoczone metalowym płotem. Do placówki prowadziły wielkie drewniane drzwi, które zawsze, nie wiedzieć czemu, były zamknięte i trzeba było przejść dookoła, aby wejść do środka. Gdy chłopcy mijali główne wejście, usłyszeli z oddali głosy chłopaków ze starszych klas. Z czego śmieją się starszaki, zobaczyli dopiero, gdy byli przy metalowej bramie prowadzącej na szkolny plac zabaw. Szymek z początku myślał, że chłopaki przyciągnęli z pola stracha na wróble. Dopiero gdy podszedł bliżej, zrozumiał, że nie. To był jego ojciec. Leżał na jednym ze schodków prowadzących do szkoły. Był w samej koszuli zapiętej na środkowy guzik. Spodnie wisiały mu na wysokości kolan. Nie miał bielizny. W dłoni trzymał pustą butelkę wódki. Był nieprzytomny. Chłopaki zrobili sobie z niego tor przeszkód. Szymek złapał brata za dłoń i pociągnął do siebie. I wtedy rozpoznał ich Stefan z szóstej klasy.

– Komar! To nie twój stary?!

Wskazał go palcem, a stojący obok chłopcy odwrócili się w ich kierunku i zaczęli głośno się śmiać. Bolek przytulił się do brata i zaczął płakać. Szymek zagryzł zęby i pociągnął go za sobą. Minęli leżącego ojca i przy dźwięku gwizdów weszli do szkoły.

CZEŚĆ I. GRZESZNICY

Rozdział 1. Pierwszy

Warszewo, Szczecin, niedziela, 17 października 1976 roku

Ławeczka na placykach na Zyglągu na Warszewie była świetnym punktem obserwacyjnym. Było stamtąd widać nie tylko nadjeżdżający autobus, lecz także większość starych domów na Perlistej i Dzierżonia. Lepszego miejsca do wypatrywania osób wchodzących i wychodzących z budynków nie było. W grę wchodziła jeszcze buda na przystanku końcowym autobusu, ale tam kręciło się zbyt wielu autochtonów czekających na pięćdziesiąt siedem. O tej porze wszyscy jechali odświętnie ubrani do kościoła na sumę. Mężczyźni w garniturach, wyprasowanych koszulach, pod krawatem i w paltach, na głowach nieodzowne kapelusze. Kobiety w płaszczykach i w chustach na głowie, czasami w wełnianych albo moherowych beretach. Wiało i zbierało się na deszcz. Pogoda była pod psem.

Postać poprawiła kaptur na głowie i uderzyła butami o siedzisko ławki, zrzucając z podeszwy buta resztki gliny i błota. Z posesji jednego z domów wyszła kobieta z chustą na głowie. Tuż za nią szedł chłopak. Podtrzymał ją za ramię. Miał może z osiemnaście lat, kobieta pewnie była jego matką. Skręcili w Perlistą. Nie czekali na autobus. Postać sięgnęła po worek marynarski, który leżał na ławce, i spojrzała na zegarek. Za dwadzieścia minut będzie południe. To daje jej jakieś dwie godziny, wystarczy – pomyślała. Zeskoczyła sprawnie z ławeczki i ruszyła w kierunku posesji, z której wyszli chłopak z matką. Długi płaszcz przeciwdeszczowy sprawiał, że właściwie trudno było określić nie tylko to, jak wygląda, lecz także jakiej jest płci. Z pewnością była wysportowana. Energiczny krok i sprawność, z jaką zeskoczyła z ławeczki, mogły świadczyć o dobrym przygotowaniu fizycznym. Nie skierowała się na chodnik, ale minęła przystanek od tyłu. Zapach moczu był na tyle intensywny, że przyśpieszyła kroku. Po przejściu kilkuset metrów była już na miejscu, pchnęła metalową bramkę i weszła na teren posesji. To był typowy poniemiecki bliźniak z lat trzydziestych, jakich wiele w północnej części Szczecina. Weszła po schodkach na ganek i nie pukając, pociągnęła klamkę. Drzwi się otworzyły. Na wprost był korytarz prowadzący do

dwóch pokoi i łazienki. Lekko w prawo znajdowały się schody. Osobnik poruszał się z wprawą, jakby znał to miejsce. Wszedł na pierwszy schodek i najciszej, jak potrafił, zaczął wspinać się na piętro. Gdy już dotarł na górę, delikatnie otworzył drzwi po lewej. Dopiero teraz można było zauważyć, że na dłoniach ma czarne rękawiczki.

W pokoju było ciemno. Szczelnie pozaciągane zasłony nie pozwalały dostać się do środka nawet odrobinie światła. Śmierdziało przetrwoną wódką i tanimi papierosami. Człowiek w sztormiaku podszedł do okna i przesunął zasłonę. Ciepłe promienie słońca wdarły się do pomieszczenia, rozświetlając jego wnętrze. Na kanapie spał zawinięty w koc mężczyzna i donośnie chrapał. Wokół leżały porozrzucane części garderoby: spodnie, koszula, bielizna. W kącie stała pusta butelka wódki. Postać rozejrzała się po pokoju. Podłoga z mocno sfatygowanych, pomalowanych na jasny brąz desek. Z niektórych farba odchodziła płatami, odkrywając pierwotny kolor. Tapeta w kwiatki w jednym z rogów odlepiła się od ściany. Nad łóżkiem wisiało zdjęcie ślubne. Wyretuszowane, uśmiechnięte twarze patrzyły sobie w oczy. Wyglądali na szczęśliwych. Nad zdjęciem krzyż. W pokoju poza miejscem do spania i stołem z dwoma krzesłami nie było niczego więcej.

Jesień 1976. W Szczecinie dochodzi do serii wypadków śmiertelnych. Bardzo szybko okazuje się, że ofiary łączy nie tylko sposób, w jaki zginęły, ale również fakt, że na miejscu każdego ze zdarzeń śledczy znajdują tajemnicze przedmioty. Do sprawy zostaje przydzielony porucznik Ugne Galant. Milicjant wciąż zmagają się z dręczącymi go demonami. Gdy okazuje się, że na miejscu zdarzeń śledczy znajdują ślady pozostawione przez Galanta, milicjant będzie musiał zmierzyć się z upiorami przeszłości i brutalną prawdą o sobie samym. Zanurzy się w mroczny świat melin, przemocy i grzechu. Zaczyna się polowanie na latawce.

Jeżeli prawdą jest, że cierpienie uszlachetnia, to czas, by się z tą prawdą zmierzyli ci, którzy ją głoszą.

„Latawiec” to Szczecin lat 70. XX wieku. Nie jest to jednak miasto roześmianych marynarzy i dziewczyn w kolorowych bananówkach, tylko mroczne zaułki Warszewa i Niebuszewa.

Joanna Skonieczna, Radio Szczecin

mrocznastrona.pl
wydawnictwofilialia.pl



FILIA MROCZNA
STRONA

cena 47,90 zł

ISBN 978-83-8357-747-0



9 788383 577470